Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 96 (1984) 1 grudnia 1970 r. Cena 50 gr

PIONOWO STARTUJE I LĄDUJE

● **Związek Radziecki jest aktualnie jedynym na świecie posiadaczem samolotów pionowego startu i lądowania. Tego typu maszyna opracowana została w biurze konstrukcyjnym A. Jakowlewa — twórcy słynnych Jak-ów z okresu II wojny światowej oraz dziesiątków najnowocześniejszych myśliwców i bombowców naddźwiękowych.**

Samolot wielozadaniowy konstrukcji A. Jakowlewa jest średniopłatem o skrzydłach typu „delta". Myśliwiec ten jest napędzany silnikiem turbinowym z zamocowanymi obrotowo dyszami wylotowymi. W pierwszej fazie startu dysze te skierowane są pionowo w kierunku ziemi i unoszą samolot w górę. Stopniowa zmiana ich położenia następuje w powietrzu aż do momentu, gdy samolot ruszy naprzód.

SKARBY MÓRZ I OCEANÓW

● **Bogactwa znajdujące się w oceanach i morzach przekraczają nasze pojęcia o tym, co może znajdować się w wodzie i na dnie. W objętości 0,4 km sześć. wody morskiej, przypadającej na jednego mieszkańca Ziemi jako jego „działka" we wszechoceanie, znajduje się: złota — 1,6 kg, srebra — 120 kg, kobaltu — 200 kg, niklu — 800 kg, cyny — 1200 kg, miedzi — 1200 kg, uranu — 1200 kg, nie licząc nieznanych jeszcze zasobów na dnie i pod dnem mórz i oceanów.**

LOT DO METEOROLOGICZNEGO PIEKŁA

W POGONI ZA TAJFUNEM RUTH

LOTEM BŁYSKAWICY obiegła świat wiadomość o straszliwym tajfunie. Potworna fala morska, niezwykłej siły wicher — zniszczyły prawie doszczętnie wybrzeża Wschodniego Pakistanu. Ponad pół miliona ofiar w ludziach, rozszerzające się epidemie cholery i tyfusu. Strat w sprzęcie i inwentarzu nikt jeszcze do dziś nie jest w stanie obliczyć. Tajfun lub cyklon — to potworne zjawisko przyrody, to „meteorologiczne piekło". Przed tajfunem nie ma ratunku. Tylko odpowiednio wcześniejsze wyśledzenie nadciągającego żywiołu, obliczenie jego kursu, siły, szybkości pozwala częściowo ewakuować ludzi, skierować na inny kurs statki i samoloty. „Pogotowia przeciwtajfunowe" zorganizowano m.in. w Japonii, Związku Radzieckim, USA, Hongkongu, Indiach. Słynny meteorolog francuski Pierre-André Molène odbył wiele lotów samolotami amerykańskich „łowców tajfunów" z wyspy Guam. Oto jego relacja z jednej z takich wypraw — pogoni za tajfunem „Ruth".

C. d. na str. 4–5

Katastrofalny tajfun „Patsy", szalejący przed kilkoma dniami nad północną częścią Filipin, wyrzucił na brzeg duży statek. Załogę, na szczęście, uratowano. Foto: CAF

WYNALAZEK W FABRYCE SNÓW

To nowe opowiadanie, które znajdziesz już w następnym numerze.

ありませんでした。ただ、えかきさんのうちのそばに、すんでいるだけでした。

たったそれだけのことで、なかよしになるなんて、ふしぎです。

でも、えかきさんとヘーニャは、とてもなかよしでした。

まいにちまいにち、いろいろおしゃべりして、いろんなことをはなしあいました。

TAK WYGLĄDA STRONA W JAPOŃSKIEJ KSIĄŻCE DLA DZIECI. NA TE TAJEMNICZE DLA NAS ZNAKI JAPOŃSKIEGO JĘZYKA PRZETŁUMACZONO POLSKĄ KSIĄŻKĘ PT.: „JAK JEDEN MALARZ CHCIAŁ NAMALOWAĆ SZCZĘŚLIWEGO MOTYLA". WYWIAD Z AUTORKĄ TEJ KSIĄŻKI, IRENĄ JURGIELEWICZOWĄ, ZAMIESZCZAMY PONIŻEJ.

SPOTKANIA Z PISARZAMI

W naszych OCZACH

Książki Ireny Jurgielewiczowej są popularne zarówno wśród małych dzieci jak i wśród nastolatków. Pisarka ma bowiem w swoim dorobku pozycje i dla jednych, i dla drugich czytelników. Nastolatkom znane są powieści tej autorki: **„Ten obcy", „Niespokojne godziny", „Wszystko inaczej".** Jak świadczą recenzje czytelników przesłane do naszej redakcji na konkurs, tę ostatnią książkę czytają chętnie i dziewczynki, i chłopcy. Każdy z czytelników znajduje w niej coś interesującego dla siebie i tytuł powieści — **„Wszystko inaczej"** — rozumie też po swojemu.

„Wydaje mi się, że książka nosi taki tytuł słusznie. Przy pomocy przyjaźni zawartej w trudnych chwilach wszystko zupełnie inaczej się układa" — pisze jedna z czytelniczek. Druga zaś stwierdza: „Tytuł książki jest bardzo dobry. Bo pod tytułem i słowami **„Wszystko inaczej"** ma się na myśli, że coś by się chciało tak bardzo, a jest... inaczej!"

Jak się wydaje nikt z recenzentów nie odczytał dokładnie intencji autorki. Cóż więc się kryje pod zagadkowym tytułem **„Wszystko inaczej"?** Zwróciłam się z tym pytaniem wprost do pisarki.

C. d. na str. 8

Właśnie z tym zastępem przeszłam „zaprawę" w komorze ćwiczeń. Od lewej stoją ratownicy: Władysław Durnik, Alfred Nowak, Franciszek Szpyrka, Kazimierz Matoga i Franciszek Czmok.

Zanim przybędą z pomocą

W Bytomiu, przy ulicy Chorzowskiej, mieści się Centralna Stacja Ratownictwa Górniczego. Podlegają jej Stacje Okręgowe, a także Kopalniane Stacje Ratownictwa Górniczego.

W Okręgowej Stacji w Bytomiu pracuje 47 ratowników zawodowych. Oni wzywani są do najtrudniejszych akcji. To właśnie zastęp Władysława Durnika z Bytomia uratował w roku ubiegłym 79 górników, kiedy nastąpił zawał w kopalni „Generał Zawadzki".

Ratownicy zawodowi pełnią w Pogotowiu 24-godzinne dyżury. Sześć razy do roku oni, jak i ratownicy nie pracujący tu zawodowo, odbywają ćwiczenia w specjalnej, przystosowanej do tego celu komorze ćwiczeń. Pewnego dnia postanowiłam, że pójdę na takie ćwiczenia z ratownikami i napiszę jak one wyglądają. Po załatwieniu koniecznych zezwoleń i formalności, ubrana w kombinezon, grube skórzane buty do kolan i hełm ochronny zameldowałam się u pana Władysława Durnika, bo do jego zastępu zostałam przydzielona na ćwiczenia.

Zastęp przygotowuje aparaty tlenowe. Mechanik aparatowy pan Eryk Kregel podprowadza mnie do wysokiego stołu, na którym równiutko ułożone, lśnią metalową obudową „ratownicze plecaki". Jeden z nich znajduje się po chwili na moich plecach, wagą 17 kilogramów przestrzegając, że te ćwiczenia to nie przelewki. Jeszcze maska tlenowa na twarz i wychodzę na rozległy plac. Nim zastęp się przygotuje muszę się wdrożyć do noszenia ciężaru i oddychania tlenem. Spaceruję więc i oddycham. Przez ramię przewieszony mam wcale nie lekki akumulator — połączony przewodem z lampką, którą trzymam w ręku. Przyznaję, że mam „pietra". Czuję się jak uczeń przed egzaminem z niewiadomego przedmiotu...

Gdzie ja jestem!

Komora ćwiczeń mieści się w budynku z czerwonej cegły. Przed wejściem ostateczne sprawdzanie masek i aparatów. Teraz ustawieni gęsiego wchodzimy w korytarz, który do złudzenia przypomina chodnik kopalni. Pełno tu dymu, tak, że drogę trzeba oświetlać lampką.

Prowadzi Franciszek Czmok, za nim idzie Kazimierz Matoga, ja, Franciszek Szpyrka, Alfred Nowak i Władysław Durnik — zastępowy. We wszystkich ratowniczych akcjach zastępowy idzie na końcu...

Kilka metrów wysokiego chodnika kończy się drabiną z metalowych prętów. Czuję jakbym wchodziła w komin. Jest to szybik. Nad szybikiem płaszczyzna platformy. Podnoszę się, szukam w dymie dalszej drogi, bo się zgubiłam. Robię krok w lewo i przysiadam, bowiem łupnęłam hełmem o strop, aż zabrzęczało. Nie tędy. Ale droga właściwa wiedzie równie niskim chodnikiem, trzeba iść na nogach o ugiętych kolanach, prawie w kucki. Nie jest to najwygodniejsza pozycja spacerowa. Toteż szybko zmieniam ją na marsz na czworakach. Kiedy doganiam czołówkę, stwierdzam, że Kazimierz Matoga również „raczkuje". Coraz niżej, coraz ciaśniej i coraz goręcej. Momentami zawadzam ramieniem o drewniane stemple. Momentami migają w świetle lampki skalne załomy. W miarę upływania czasu tracę poczucie rzeczywistości. Sceneria głębokiego podziemia, pot spływający po plecach, po twarzy — pod maską, ciężar aparatu tlenowego na plecach, ból mięśni nieprzyzwyczajonych do takiego wysiłku, dym, upał i kurz nakazują zapomnieć, że to ćwiczenia.

Chodnik, którym teraz pełzniemy, jest wąski i niski. Tak niski, że obudowa aparatu tlenowego gruchocze o wystające krawędzie kamieni, chociaż posuwam się na brzuchu. Ta obudowa chroni moje plecy, ale ręce i nogi coraz to trafiają na nierówności skalnego rumowiska. W zdenerwowaniu nie zabrałam rękawic, teraz mam za swoje. Rozgrzane suche kamienie zdzierają skórę. Lampkę trzymam byle jak, elektryczny przewód plącze się pod łokciem, utrudnia poruszanie się. Nie oświetlam drogi przed sobą, o rozglądaniu się nie ma mowy. Staram się jedynie nie stracić z pola widzenia butów pełznącego przede mną ratownika. Oddychać coraz trudniej. Gorąco. Potwornie gorąco. Koniec chodnika. Trzeba w ciasnocie wykonać obrót. Nogi opuścić by wejść na upadową, czyli na drogę wiodącą w dół.

— Uwaga! Uwaga pod nogi! — Przestrzega mój poprzednik. Na upadowej zamiast stopni umocowane są poprzeczne kołki. Łatwo się o nie potknąć.

Nareszcie baza. Jest tu chłodniej. Franciszek Czmok każe przysiąść na chwilę.

— To już koniec? — pytam, ciesząc się w głębi serca, że oto już po trudach, że można będzie zdjąć maskę i zaciągnąć się normalnym powietrzem, przybrać pozycję pionową i napić się, wszystko jedno — herbaty czy zwykłej wody.

— Idziemy dalej? — odpowiada pytaniem pan Czmok.

Im dalej, tym trudniej

Oczywiście, że idziemy — odpowiadam po długiej chwili. A swoją drogą chwila odpoczynku na ławeczce przywróciła sprawność mięśniom. Tak mi się przynajmniej wydaje. Do tego odkręciłam zapasowy zawór tlenu i orzeźwiłam płuca. A przede wszystkim zdaję sobie z tego sprawę, że znalazłam się tu właśnie po to, aby zobaczyć, na czym polega zaprawa górników-ratowników.

Już idziemy dalej. Lampka oświetla długą linę zwisającą od stropu. Na jednym jej końcu uczepiony jest kawał żelaza. Franciszek Czmok chwyta oburącz rączkę przy linie i ciągnie ją do dołu, a ciężarek leci do góry.

— Wspinać się będzie po niej, czy jak? Przecież ja nigdy w życiu nie dokonam takiego wyczynu. Do tego w ciężkich butach i z aparatem na plecach... Tymczasem pan Czmok ciągnie za linę i ciężarek to unosi się w górę to opada w dół. Po chwili moje ręce tkwią na uchwycie.

— Ciągnąć w dół dziesięć razy nie wypuszczając uchwytu — słyszę wyjaśnienie.

Ciągnę więc ile mocy, ale na siebie. Usiłuję przy tym podskoczyć, żeby ciężarek opadł jak najniżej.

— Nie tak, spokojnie. To są ćwiczenia siłowe...

Ćwiczenia siłowe — ciężarek waży około 30 kilogramów, to również zaprawa. Ratownicy w kopalniach niejednokrotnie muszą dźwigać ciężary, ubrani w maski.

I oto znowu zaczyna się wędrówka. Chodnik robi się coraz niższy i jest coraz goręcej. W którymś momencie wpełzam do większego pomieszczenia. Lampka oświetla „obcego" ratownika rąbiącego kłodę drzewa. Jestem w filarze, ratownik stawia tamę. Kiedy już ją postawi, przyjdzie inny, by ją rozebrać. Jedni muszą przytransportować budulec i narzędzia, inni — będą je stąd usuwać. A wszystko po to, by w trudnej chwili podczas akcji umieć sobie poradzić. Całe szczęście, że nie muszę ciągnąć z sobą żadnych narzędzi, rur ani noszy.

Kiedy schodzimy chodnikiem transportowym do bazy, bez niczyich nakazów padam na ławeczkę i odkręcam zawór z tlenem. Mam już dość. Z trudnością ocieram obolałe kolana. Na dłoniach porobiły się pęcherze. Na szczęście to już koniec ćwiczeń.

WIESŁAWA MROCZEK

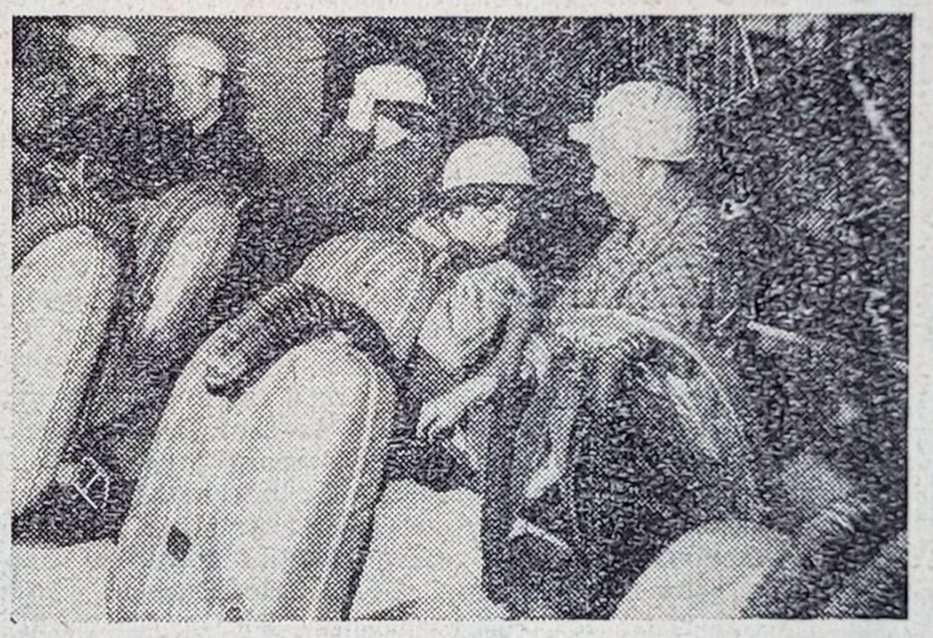

Pan Eryk Kregel (pierwszy z prawej) sprawdza mój aparat tlenowy.

Zdjęcia: Jerzy Mirski

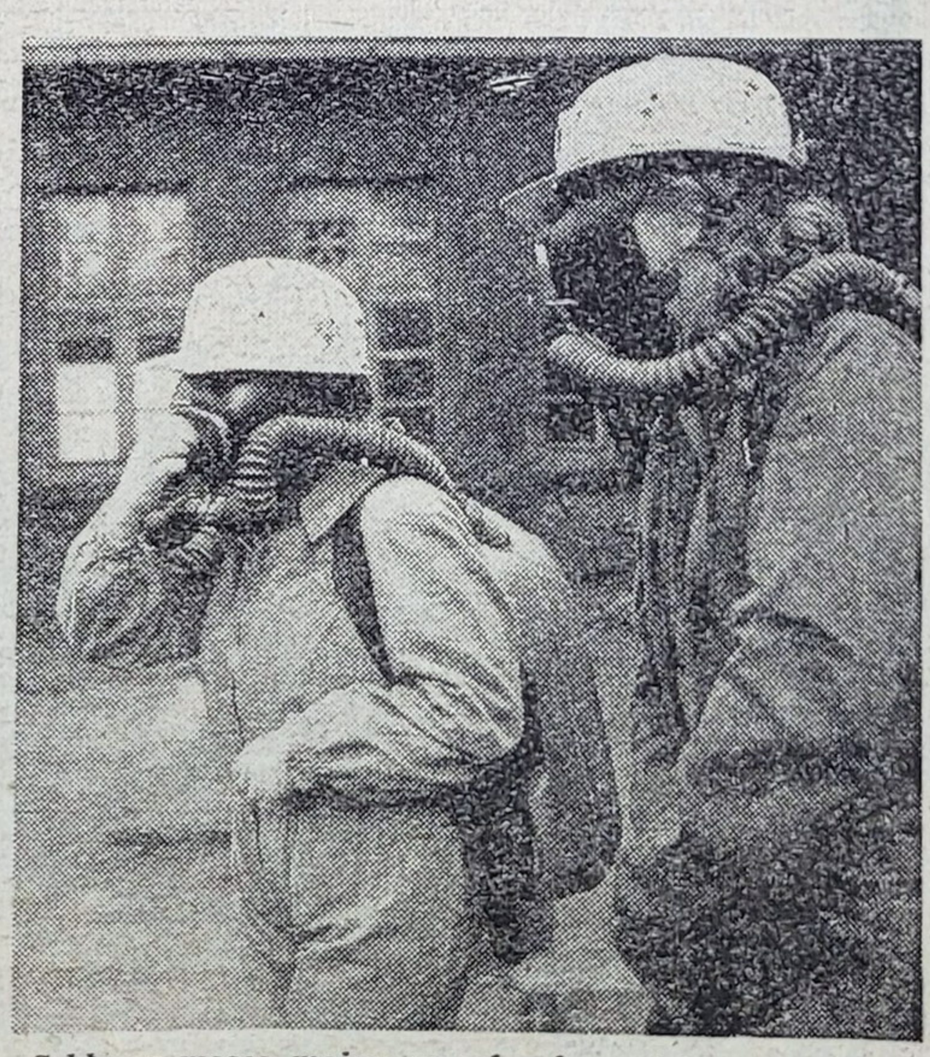

Szkło w masce można przecierać specjalnym urządzeniem, jak wycieraczką w samochodzie. Uczę się tego w czasie spaceru, tuż przed rozpoczęciem ćwiczeń.

KURIERZY PÓŁNOCY

POMYSŁ ZBUDOWANIA aerosani powstał już w początkach naszego wieku. W śnieżnym państwie — Rosji — zawsze wiązano duże nadzieje z możliwością stworzenia tego kombinowanego środka lokomocji. Na długo przed wybuchem II wojny światowej kilka prototypów aerosani wypróbowanych zostało na trasie Moskwa-Leningrad, Moskwa-Gorkij i Moskwa-Czelabińsk.

Obecnie ten rodzaj komunikacji należy do najszybszych i najwygodniejszych na rozległych terenach Syberii. Aerosanie przypominają swoim wyglądem normalny autobus, który zamiast kół ma 4 grube metalowe płozy. Z tyłu autobusu, zupełnie na zewnątrz, umieszczony jest silnik samolotowy. Kolorowy autobus ma z przodu dwie szyby, a po bokach 8 dużych okien.

Ten oto pojazd może dotrzeć do każdego zakątka Syberii. Helikopter nie zawsze ma gdzie lądować, bowiem w maleńskich osiedlach syberyjskich zaspy śniegu często sięgają dachów. Samochody są jeszcze mniej przydatne, ponieważ grzęzną w śniegu. Tak więc aerosanie są najbardziej sprawnym rodzajem transportu w warunkach syberyjskich.

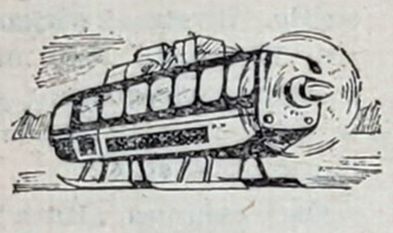

Aerosanie budowane są w znanej radzieckiej firmie „Kamowa". Przeznaczone są głównie dla celów pocztowych. Centralną bazą i dyspozytornią aerosani jest miasteczko syberyjskie Ust-Kut, leżące w pobliżu największej rzeki tamtego regionu — Leny. W miasteczku tym mieści się też centralny ośrodek szkolenia kierowców aerosani. Zjeżdżają tutaj młodzi ludzie z Czukotki, Amuru, Archangielska i innych śnieżnych regionów, by nauczyć się zupełnie nowej specjalności.

Młodzi kursanci, zwani w Ust-Kut kurierami północy albo pocztylionami białego niedźwiedzia — nie są zwyczajnymi pracownikami poczty. Bo jakkolwiek odpowiadają przede wszystkim za pocztową zawartość aerosani, to jednak ich praca jest bardzo niecodzienna. Wyruszają codziennie w swoje białe rejsy niezależnie od tego, czy szaleje śnieżna zamieć, czy też mróz sięga 50 stopni C.

(j. k.)

Niektórzy przedstawiciele naszego młodego pokolenia sprawiają wiele kłopotów rodzicom i nauczycielom. Nie chcą się uczyć ani też pracować, uciekają z domów. Nie mają swoich ideałów, a nawet zasad. Nawet nie starają się zadać sobie pytania: DO CZEGO DĄŻĘ?

Dzieje się tak dlatego, że jest im za dobrze. Mają doskonałe warunki materialne, bezpłatną naukę, wszystko przychodzi im z łatwością. Sami nie muszą niczego zdobywać, nie chcą o nic walczyć.

Dorosłych i swoich rówieśników, którzy zwracają im uwagę, uważają za staroświeckich. A tymczasem sami sądzą, że są „modni", gdy idą ulicą z papierosem w ustach i gdy arogancko odnoszą się do otoczenia.

Piszę o tym dlatego, że ogromna większość młodzieży ma swoje pragnienia i zainteresowania, dąży do czegoś, chociaż nie zawsze przychodzi jej to z łatwością.

A tymczasem są wśród nas i tacy, którzy mają jakieś własne dążenia, o których nigdy głośno nie mówią, bo się wstydzą.

Sądzę, że w Klubie warto byłoby podyskutować o tym, do czego dążymy, jak chcemy do tego dojść?

Elżbieta ze Stargardu

Z pytaniami zawartymi w liście Elżbiety zwróciliśmy się do uczennic i uczniów klasy VIII b w Szkole Podstawowej Nr 230 w Warszawie. Drukujemy także listy czytelników, którzy niedawno pisali do nas na ten temat. Oto poglądy niektórych z nich:

DO czego DĄŻYMY?

ŻYJEMY W WIEKU NAUKI

Żyjemy w wieku XX, który jest wiekiem nauki i ogromnych zmian. Wielu z nas np. marzy o dalekich podróżach, lecz jednocześnie nie przywiązuje wagi do poszerzania swojej wiedzy o świecie, ani też do nauki języków obcych, bez znajomości których nie warto wychylać nosa poza własne opłotki.

Uważam także, że jeśli, na przykład, ktoś wybrał sobie zawód chemika, to powinien pogłębiać swoje wiadomości i w innych dziedzinach, a nie uczyć się tylko w wąskim obranym zakresie.

Maggie

NAJWAŻNIEJSZE SĄ PIENIĄDZE

Uważam, że nic tak w życiu nie urządza jak forsa. Ci co mówią: „Pieniądze szczęścia nie dają" albo są nieszczerzy, albo też nie wiedzą jak można zdobyć pieniądze.

Często słyszę jak moi koledzy w klasie rozmawiają o zdobyciu sławy, o dokonaniu czegoś, co zadziwiłoby świat. I po co to wszystko? Czy nie lepiej jest żyć w cieniu i dbać o swój własny dom, dobrze się ubrać, mieć samochód?

Krzysztof z Poznania

WIELE CHCIAŁABYM ZMIENIĆ

Osobiście nie marzę o wielkiej karierze, lecz w życiu swoim własnym i innych wiele chciałabym zmienić. Będę przecież żyć w XXI wieku, w którym pragnę widzieć młodzież inną niż obecnie. Wśród nas jest za dużo rozwydrzonych dziewcząt i chłopców.

Gosia z Warszawy

TYLKO W KINIE CZUJĘ SIĘ SZCZĘŚLIWA

Bardzo lubię chodzić do kina. W kinie czuję się naprawdę dobrze. Chciałabym, aby było tyle ciekawych filmów, i abym miała tyle czasu, by każdą wolną chwilę spędzać w kinie. Mogłoby tak nawet być w każdy wieczór. Wtedy naprawdę czułabym się szczęśliwa.

Magda z Krakowa

SAM CEL NIE WYSTARCZA

Przebywałem przez kilka miesięcy w środowisku chuliganów. „Przywódcy" takiego klanu popisują się przed pozostałymi swoją siłą i bezwzględnością. „Podwładni" chcą im dorównać, boją się ich i ślepo wykonują rozkazy.

Ci „podwładni" — to zazwyczaj jednostki słabe i bez aspiracji, łatwo ulegają wpływom innych. Tylko człowiek twardy i ambitny ma szanse osiągnąć swój własny cel w życiu. Myślę, że nie wystarczy więc do czegoś dążyć. Trzeba mieć jeszcze silną wolę.

Gucio

Klub Nastolatków oczekuje na Wasze listy na ten temat. Na kopercie piszcie: „DO CZEGO DĄŻYMY"?

Oprac. B. SKORSKA

SUCZKA — MAMKĄ LWIĄTEK

● W ogrodzie zoologicznym w Opolu przyszły na świat dwa małe lwiątka. Lwica okazała się jednak złą matką, wobec czego funkcję mamki powierzono foksterierce, mającej akurat młode pieski. Suczka wywiązuje się wzorowo ze swych niecodziennych obowiązków, zaspokajając w pełni apetyty obu lwiątek.

NAJSTARSZE NARZĘDZIE ŚWIATA

● W Etiopii odkryto najstarsze narzędzie wykonane przez człowieka. Odkrycie to jest dziełem archeologów francuskich i zostało dokonane nad brzegiem rzeki Omo, w północnej Kenii. Narzędzie to — to obłupany krzemień, którego wiek szacowany jest na... 2,2 miliona lat. Wiek siedziby praczłowieka nad rzeką Omo naukowcy oceniają na 3,3 mln lat — jest to więc najstarsze dotychczas znane w świecie miejsce tego rodzaju.

GONG ZWOŁUJE ŻUBRY

● Codziennie rano, w południe i wieczorem w lasach smardzewickich rozlega się charakterystyczny dźwięk gongu. W ten sposób strażnicy dają znać przebywającym w rezerwacie żubrom, że zbliża się pora posiłku. Żubry tak się przyzwyczaiły do tej formy wołania, że na każdy gong zjawiają się przy ogrodzeniu. W nagrodę za to otrzymują posiłki składające się z owsa i warzyw z dodatkiem... tranu.

W POGONI ZA TAJFUNEM „RUTH"

Rys. M. Kościelniak

C. d. ze str. 1

WYSTARTOWALIŚMY PÓŹNĄ NOCĄ

Podpułkownik Hutchinson, którego spotkałem w sali prognoz „łowców tajfunów" bez słowa podał mi depeszę. Kilka cyfr określało położenie geograficzne nowo zaobserwowanego tajfunu. Kurs: Tokio i Jokohama. Potem podano jego imię — jak zwykle żeńskie — „Ruth". Wreszcie na zakończenie telegramu określono siłę wiatru tajfunu — 300 km/godz! Podwoiła się ona w ciągu ostatniej doby.

— Poleci pan dziś w nocy z załogą „Boeinga" numer 76 „Gryf" — powiedział podpułkownik. — To już niewiele czasu. Proszę za mną, przygotuje się pan do lotu.

Sierżant pomaga mi założyć kombinezon z mnóstwem zamków błyskawicznych. Na to kamizelkę ratunkową automatycznie nadmuchiwaną na wypadek wodowania na oceanie. W kieszeniach i pojemnikach — awaryjne racje żywnościowe, farba barwiąca wodę, by łatwiej można było odnaleźć rozbitka, cały system rakiet sygnalizacyjnych. A oprócz tego — specjalny proszek do odpędzania rekinów. Czuję jak dreszcz przechodzi mi po krzyżu.

Odprawa załogi, wyjaśnienie zadania. Kapitan Matzen oraz jego ośmioosobowa ekipa techniczna i obserwacyjna przyjmują mnie do swego grona. Zajmuję miejsce w samolocie przy drugim radiotelegrafiście. Gdy kołujemy na start, jest późna noc. Dodatkowe zbiorniki z paliwem pozwalają nam przelecieć wzdłuż cały Ocean Spokojny.

Z hukiem silników odrywamy się od pasa startowego. Superforteca „Boeing-50" wzięła kurs na tajfun „Ruth", by doścignąć go, zbadać i przeniknąć do jego straszliwego wnętrza, do oka cyklonu.

WYSTRZELIĆ PIERWSZĄ SONDĘ

OSIĄGAMY wysokość 3000 m. Na tej wysokości mamy zaatakować „Ruth". Zwiedzam cały samolot. Ale z części dziobowej do tylnej kabiny można się przedostać tylko ośmiometrowym wąskim tunelem, idąc na czworakach między zbiornikami z paliwem. Czuję się tak, jak bym był pojedynczą tabletką aspiryny w szklanej fiolce. A ponieważ rzuca nami trochę, wyobrażam sobie, że ta fiolka tkwi w kieszeni mężczyzny goniącego odjeżdżający autobus.

O godz. 6.30 czasu miejscowego kapitan Matzen poleca mi usiąść w fotelu drugiego pilota. Za 5 minut osiągamy „przedmieścia" tajfunu: znajdujemy się w odległości 330 km od jego oka. Ale jeszcze nie atakujemy, czekamy zupełnego świtu. To potrwa jeszcze około godziny.

Pada komenda kapitana: — Wystrzelić pierwszą sondę!

Pod samolotem rozwija się spadochron unoszący radiosondę. Przez 5 — 6 minut aparacik nadaje niezmiernie ważne dane. Potrafi on zmierzyć ciśnienie atmosferyczne w zakresie od 1060 do 50 milibarów, temperaturę od plus 60 stopni do minus 90 stopni oraz wilgotność powietrza. Dane uzyskane z radiosondy są przez naszą stację pokładową natychmiast przekazywane do bazy. Bo o tajfunie trzeba wiedzieć przede wszystkim: gdzie się znajduje, w jakim kierunku się przemieszcza i z jaką siłą. Baza przekazuje te dane dalej: do centrów meteorologicznych, na statki, do użytku miejscowych władz.

JAK WYGLĄDA „RUTH"?

ZBLIŻAMY SIĘ DO TAJFUNU. Przypatrujemy mu się z daleka. „Ruth" nie wygląda wcale jak wirujący lej czy kolumna. Nie ma właściwie określonej formy, to raczej jakaś straszliwa bura masa, podobna do masywu Himalajów. Ta masa zaczyna nas powoli ogarniać. Już rozpoznajemy jej wirowy ruch. Radiolokator pokazuje, że do pierwszej spirali mamy 90 km. Ale walka z żywiołem już się rozpoczęła. Samolot wibruje. Od paru minut jesteśmy mocno przywiązani pasami do swych foteli.

Nagle podrzuca nas gwałtowny poryw tajfunu. Jeszcze raz! Widzimy jak wyginają się skrzydła naszej maszyny! Czuję, że coś ściska mi gardło. Strach? Kto kogo pokona? Czy „Boeing" wytrzyma? Staram się za wszelką cenę zapomnieć, że znajduję się w samolocie , który chociaż waży 60 ton i ma silniki o mocy 14000 KM — jest podrzucany jak piłka. Kapitan Matzen mówi mi przez radiotelefon, że siły które nami teraz miotają można porównać do siły wybuchającego wulkanu. Wydaje się, że przez huk silników słyszę wycie wichru i uderzenia strumieni deszczu o obudowę „Boeinga". Następuje paroksyzm podrzutów i wibracji. Czuję, że moje serce i żołądek oberwały się, krew dudni mi w skroniach. I nagle...

W OKU CYKLONU

WSZYSTKO USTAJE. Przez iluminatory zagląda niespodziewanie słońce, a nasza „superforteca" niczym szybowiec płynie łagodnie w wolnym od chmur powietrzu. To pozory, jesteśmy w najniebezpieczniejszym miejscu — w oku cyklonu. To strefa najniższego ciśnienia całego tajfunu, panuje tu najwyższa temperatura, bo przy-

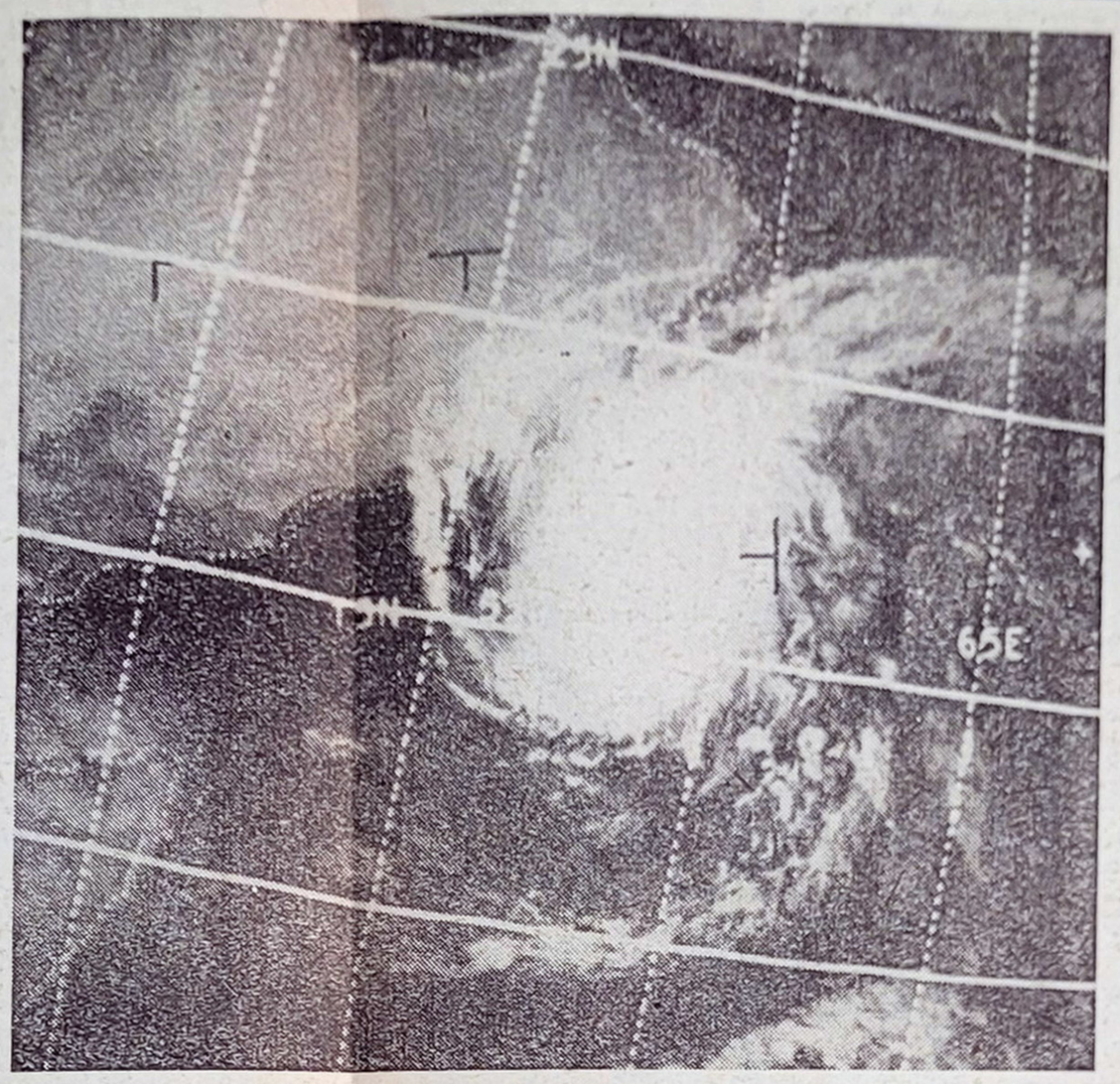

Tak wyglądają zdjęcia cyklonów dokonywane z wielkich wysokości przez satelity meteorologiczne.

ciągane masy wilgotnego powietrza oddają całe swe ciepło. Wystrzeliwujemy sondę. Wysokość 3000 m — to poziom wiecznych śniegów w górach. A tu sonda sygnalizuje ok.30 st. C!

Oko cyklonu „Ruth" — to studnia o średnicy 22 kilometrów. Ta wolna od chmur dziura ma 15 kilometrów głębokości. Jej ściany stanowią wirujące kłęby chmur. Kiedy krążymy w oku, widzimy jak kipią, smagane porywami wiatru i potokami deszczu. Aż strach pomyśleć, że znów się tam znajdujemy!

Tymczasem obserwuję morze. Fale są tak ogromne, że nawet z wysokości 3000 metrów budzą grozę. Ich wysokość dosięga 25 — 30 metrów — to przecież wysokość ośmiopiętrowego domu! Właśnie wiatr i fale — to śmiercionośne pazury tajfunu. Każda fala dźwiga tysiące ton wody. Teraz naprawdę rozumiem co to jest tajfun...

KIERUNEK TAJFUNU: TOKIO!

ZNÓW ATAKUJEMY ŚCIANĘ, znów straszliwa huśtawka. Wicher nas nie oszczędza. Jego szybkość wynosi 360 km/godz!

Zataczamy kolejny krąg wokół „Ruth". Potem znów pakujemy się w samo oko cyklonu. A za dwie godziny wszystko zaczyna się od nowa.

Załoga wykreśla kierunek przemieszczania się tajfunu. Kapitan Matzen pokazuje mi mapę. Niestety, „Ruth" kieruje się ciągle wprost na Tokio i Jokohamę. Dotrze tam za trzy dni, jeśli będzie się przemieszczać z taką szybkością. Oddaję mapę bez słowa. Ten rejon wybrzeża Japonii zamieszkuje ponad 12 milionów ludności, brzeg jest niski, pocięty gęstą siecią kanałów, usiany masą drewnianych domków. Cóż pomogą ostrzeżenia?...

Kiedy po 17 godzinach bezustannego polowania na tajfun lądowaliśmy w bazie, startował kolejny „Boeing". On przejmie za nas służbę przy „Ruth". I znów popłyną meldunki o meteorologicznym piekle: gdzie jest, jaką ma siłę, w jakim kierunku się przemieszcza...

„Ruth" nie zaatakował Japonii. Wiele mil od wybrzeża skręcił gwałtownie na północny wschód i rozproszył się gdzieś w oceanie. Bo tajfuny — twierdzą ich „łowcy" — są kapryśne jak istoty, których imiona noszą.

Oprac. JAN STYKOWSKI

Ceramika z Bolesławca

Po przyjeździe do Bolesławca Śląskiego pierwsze swe kroki skierowałam do Prezydium Powiatowej Rady Narodowej.

Przyjął mnie gospodarz powiatu, przewodniczący mgr Edward Lercher.

— Panie przewodniczący, żyje pan w tym mieście od 1946 roku. Jest pan więc świadkiem rozwoju Bolesławca niemal od pierwszych miesięcy po wyzwoleniu. Proszę powiedzieć, z czego dziś miasto jest najbardziej dumne?.

— Wiele mamy powodów do dumy. Bolesławiec przed wojną był małym sennym miasteczkiem liczącym 23 tys. mieszkańców. Wojna zburzyła go w 60 proc. Po wyzwoleniu do miasta ściągnęła grupa polskich partyzantów z terenów Jugosławii i garstka żołnierzy

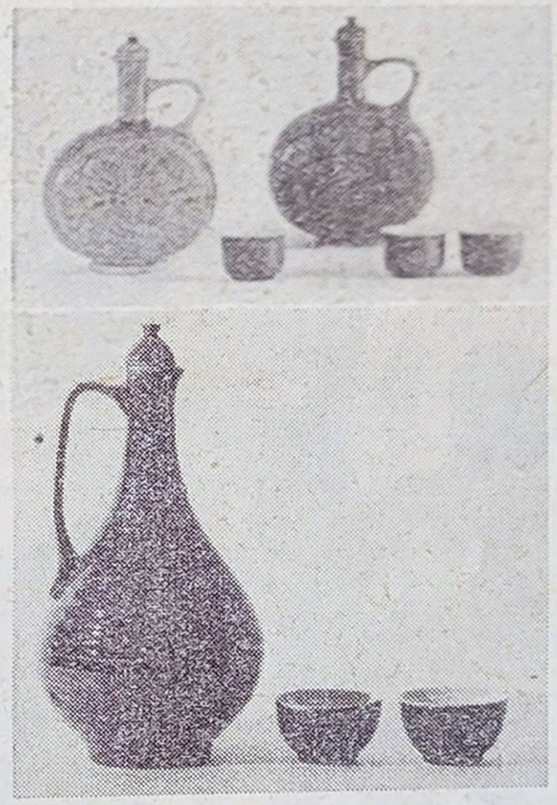

I i II Armii. To byli pierwsi mieszkańcy już polskiego Bolesławca. Było ich około 18 tysięcy. Dziś miasto pięknie się rozbudowało, uprzemysłowiło. Liczy ponad 50 tys. mieszkańców, w tym około 40 proc. młodzieży już tu urodzonej. To jest nasz pierwszy powód do dumy. Drugi — to nasze szkoły zawodowe i Młodzieżowy Dom Kultury, który dzięki swej pracy jest znany w całym wrocławskim województwie. Trzecią naszą dumą jest ceramika. Z bolesławickich wyrobów artystycznych jesteśmy słynni na całą Polskę.

*

Tak więc trafiłam do bolesławieckiej Spółdzielni Pracy „Ceramika Artystyczna".

W zastępstwie nieobecnego prezesa Lucjana Opaczyńskiego przyjął mnie kierownik techniczny — Zdzisław Pietrakowski.

Obejrzałam najpierw przyfabryczne muzeum wyrobów ceramicznych. Potem zwiedziłam fabrykę. Zobaczyłam, jak przygotowuje się gliniane ciasto, jak się je dzieli na masę lejną (z której robi się odlewy) i na masę stałą (którą toczy się na tokarce). Widziałam potem „biskwitowanie" czyli pierwsze wypalanie uformowanych modeli, „szkliwienie" czyli oblewanie lśniącą polewą, zdobienie, malowanie, retuszowanie i drugi „wypał". Po tych wszystkich operacjach ceramicznego modelu powędrowałam za nim do sortowni, gdzie się go „metkuje", a potem do magazynu — to już ostatni etap jego fabrycznego żywota. Stąd gotowe ułożone w skrzyniach wymoszczonych trocinami ceramiczne wyroby zaczynają swój drugi żywot. Wędrują w świat, by swym pięknem kusić oko i kieszeń nabywcy.

— Panie kierowniku, czy te wszystkie ceramiczne cudeńka, które widziałam w produkcji trafiają na nasz rynek? — wyraziłam powątpiewanie. — Bo przyznam się, że ja nigdzie takich pięknych cacek nie widziałam.

— Bo nie umie pani patrzeć — mówi kierownik. — W każdym mieście, gdzie znajduje się sklep PTTK z pamiątkami, znajdzie pani nasze wyroby.

— To znaczy, że wszystkie ceramiczne drobiazgi produkujecie jako pamiątki?

— Tak! Wydaliśmy walkę wszelkiej szmirze i tandecie. Nie chcemy, by turysta wywoził jako pamiątkę obrazek ryczącego jelenia, koszmarne laleczki - potworki, papugi z jaskrawych piór, cyganki z waty, czy inne bohomazy. Niech kupi sobie wazonik, garnuszek, komplecik do kawy, miniaturkę beczki od miodu, którą można powiesić na ścianie, czarkę z filiżankami, dzbanuszek... Są to rzeczy tanie, praktyczne,

tworzą w każdym wnętrzu ozdobny akcent, no i mogą być miłą, estetyczną pamiątką lub prezentem.

— To bardzo cenna inicjatywa. Czy to wy pierwsi wpadliście na pomysł tej „rewolucji" w kioskach z pamiątkami?

— Nie, inicjatorem była Cepelia. My natomiast podchwyciliśmy ten pomysł, wprowadzając do produkcji obok rzeczy, które robiliśmy dotychczas jak np. serwisy, wazony, dzbanki do parzenia kawy, kamionki do potraw, komplety kuchenne — także drobiazgi ceramiczne mogące spełniać rolę pamiątek.

*

Tak więc moi mili mam nadzieję, że wszyscy od dziś wydajecie walkę pamiątkarskiej szmirze w kioskach i będziecie kupować ładne, kolorowe, o nowoczesnych kształtach wyroby ceramiczne rodem z Bolesławca! Jak one wyglądają, popatrzcie na zdjęcia.

Prawda, że warto mieć coś takiego u siebie w domu?

ALICJA WIELGOŁAWSKA

ENO RAUD

ŚWIATŁO W ZACIEMNIONYM MIEŚCIE

Tłumaczyła ZOFIA ŁAPICKA (7)

WYSZLIŚMY Z BUDKI TELEFONICZNEJ i nogi same zaniosły nas na Bulwar Słoneczny — ulicę Weliranda.

— Jak myślisz, czy połknie haczyk? — spytałem Olewa.

Przyjaciel wzruszył ramionami.

Życie odpowiedziało jednak samo na moje pytanie. Upłynęło zaledwie dziesięć lub piętnaście minut od naszej telefonicznej rozmowy, gdy dostrzegliśmy na drugim końcu ulicy zbliżającego się do nas mężczyznę. Poły płaszcza powiewały na wietrze. Był to nasz dobry znajomy — Welirand, który śpieszył do centrum miasta.

Tam właśnie znajdował się budynek policji politycznej. Prócz tego było również w centrum kino i apteka, ale seans w kinie dawno się już rozpoczął, na chorego Welirand bynajmniej teraz nie wyglądał. W takim razie dokąd mógł iść? Może do kogoś w gości? Ale po co szedłby z wizytą z takim pośpiechem? Wynikało z tego, że idzie właśnie na policję. Czyżby w istocie połknął haczyk?

Skręciliśmy w najbliższy zaułek, żeby nie nasuwać się Welirandowi na oczy i wkrótce się rozstaliśmy.

W nocy spałem bardzo źle. Męczyły mnie różne koszmary, w których Welirand i okupanci odgrywali niemałą rolę. Kilka razy obudziłem się zlany potem ze strachu. Nie wierzę jednak w żadne sny: przecież odzwierciedlają one tylko to, cośmy widzieli lub przeżyli na jawie. Nie wierzę również, że ze snów można przepowiadać przyszłość. Z tych też powodów rano byłem dość spokojny, chociaż śniło mi się, że siedzę w więzieniu za kratkami.

— Czyś ty nie chory? Taki blady jesteś — powiedziała mama przy śniadaniu.

— Czuję się doskonale — odpowiedziałem rzeźkim głosem.

Nie miałem zamiaru tracić cennego czasu na mierzenie gorączki.

Na potwierdzenie swoich słów musiałem zjeść dwa pełne talerze kaszy z razowej mąki, bo mama często umiała określać stan mojego zdrowia z rozmiarów apetytu przy stole.

Poszedłem do przedszkola, gdzie wykonywałem nieraz różne prace i dowiedziałem się, jakie produkty mam przywieźć z gospodarstwa rolnego. Trochę czasu zajęło również zaprzęganie konia do wozu i wkrótce znalazłem się pod domem Olewa. Zagwizdałem na przyjaciela.

Olew nie kazał długo na siebie czekać. Siedliśmy na wóz i biedny koń musiał jechać szybko, jak nigdy dotąd.

Prawdę mówiąc, nie mieliśmy się dokąd śpieszyć. Uczyniliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Pułapka dla Weliranda została przygotowana i nie od nas już zależało, czy wpadnie w nią czy nie. Jednakże zależało nam bardzo żeby jak najszybciej znaleźć się na Chaswelia. Szukaliśmy najmniejszych oznak, że nasz telefon dał jakiś rezultat. Nie liczyliśmy przecież na to, że uda się nam oszukać doświadczonego prowokatora.

Wymachiwałem energicznie batem, koń śpieszył jak mógł, ale mimo to droga dłużyła nam się bardzo, jakby ktoś umyślnie rozciągnął kilometry. A skończyło się na tym, że wcale nie udało nam się dojechać na pustkowie.

Na rozwidleniu dróg stał patrol milicji.

Jeden z milicjantów zagrodził nam drogę i kiwnął, żebym zatrzymał konia.

— Dokąd jedziecie?

— Do Tiakena — odpowiedziałem starając się nadać twarzy wyraz pełen zdziwienia.

Tiakena to była wieś, z której przywoziło produkty.

— Droga zamknięta — powiedział policjant. — Musicie jechać okólną trasą.

— A co się stało? — spytał Olew.

— Nic się nie stało — burknął policjant. — Droga zamknięta i już.

W tej chwili rozległ się warkot silnika i tuż koło nas przemknęła ciężarówka naładowana po brzegi żołnierzami.

— Przecież samochód pojechał prosto — odezwał się Olew.

— Bez dyskusji — rozgniewał się policjant. — Powiedziałem i basta!

— Duży jest ten objazd? — spytałem.

— Pięć lub sześć kilometrów — odparł policjant i odszedł od wozu.

Na drodze zebrali się również inni ludzie, których nie chciano przepuścić. Pewna stara kobieta podeszła do nas i powiedziała z naciskiem:

— Słuchajcie dzieci. Nie wolno jechać dalej, bo na Chaaswiala obława. Może się zacząć strzelanina.

Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi z radości, nie zdradziłem się jednak. Nauczyłem się już ukrywać zarówno smutek jak i radość.

— A za obława? — spytałem obojętnym tonem.

— Łapią spadochroniarzy, prawdziwych spadochroniarzy, którzy zostali zrzuceni z samolotu.

— A czy złapali kogoś? — spytał Olew.

— Złapią wszystkich — odpowiedziała kobieta. — Całe pustkowie pełne jest żołnierzy.

Zdecydowaliśmy się jednak jechać okólną drogą. Przecież nie wiadomo, jak długo żołnierze będą penetrować katakumby, a przedszkole potrzebowało kartofli.

Ruszył powoli: nie było się już po co śpieszyć, sprawa stała się jasna.

— Ci którzy porządnie pomoczą sobie nogi — odezwał się Olew.

Miał na myśli tych żołnierzy, których czekało wejście do pierwszych katakumb zalanych wodą.

My obaj wiedzieliśmy doskonale, że w katakumbach nie ma żadnych spadochroniarzy mogą tam najwyżej zobaczyć nietoperze. Znajdą tam również list, bardzo ważny list, który został napisany wedle wszystkich zasad konspiracji.

Przytaczamy dokładnie tekst listu:

„Towarzysze!

Uciekajcie natychmiast! Niejaki Welirand, który pracuje w policji mówił w mieście, że będzie obława. Spotkanie w następnym umówionym miejscu."

List ten, który zostawiliśmy przy wejściu do jednej z katakumb, nie był, oczywiście, przeznaczony dla żadnych spadochroniarzy. Chcieliśmy, żeby Niemcy stracili zaufanie do Weliranda i po to właśnie zorganizowaliśmy tak skomplikowaną akcję.

Nie zobaczyliśmy już nigdy prowokatora. Do jego mieszkania wprowadzili się nowi lokatorzy. I nic już o nim nie wiemy. Mamy jednak nadzieję że nie może już absolutnie nikomu zaszkodzić.

KONIEC

Rys. J. Rocki

NAJSTARSZY CZŁOWIEK ŚWIATA

Jest zapewne najstarszym człowiekiem na świecie. Gdyby był w dzieciństwie w Moskwie pamiętałby klęskę i odwrót Napoleona. Szyralimuslimow nazywany także Szyralibaba urodził się w 1805 roku — liczy sobie zatem 165 lat! Mieszka w osiedlu Barzawu położonym 2 tys. metrów nad poziomem morza.

W młodości Szyralibaba pasał stada bydła. Kiedy się ożenił z córką miejscowego feudała zbudował w górach dom — dziś znajduje się tam spore osiedle noszące nazwę Barzawu. W osiedlu tym mieszka blisko 200 jego potomków, inni rozproszyli się po różnych stronach Związku Radzieckiego.

Na tym terenie ludzie znani są z długowieczności. Żyją tu trzej bracia Szyralibahy, z których najstarszy, Adżariszi, ma ponad 120 lat, najmłodszy zaś, Gadzimirza, 114 lat.

165-letni Szyralibaba nie spędził ani jednego dnia bez pracy. Nie pije i nie pali. Przez całe życie dzień rozpoczyna poranną gimnastyką na świeżym i czystym w tym rejonie powietrzu. Składa często wizyty znajomym, a do kina chodzi piechotą 7 kilometrów — i to drogą, którą pomagał budować przed 100 laty.

(jk).

OSTATNI MOHIKANIN

Opracowanie tekstu wg. J. F. Coopera

Cs. Horwath

Rysunki Erno Tibor Zórad.

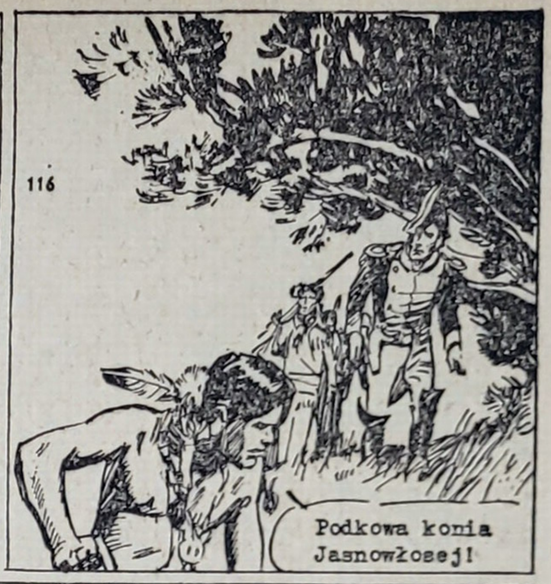

„SWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-68. Sekretariat administracji 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa", Warszawa, ul. Bagatela 14. Biuro ogłoszeń — W-wa, ul. Wspólna 41. Tel. 21-21-29. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", W-wa, Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4,00, kwartalna zł 12,00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24. Niezamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
Zam. 3184. X-67

W naszych OCZACH

C. d. ze str. 1

— Obserwujemy w życiu codziennym różne nieporozumienia pomiędzy ludźmi — mówi pani Irena. — Młodzież nie rozumie dorosłych, dorośli nie rozumieją młodych, a i rówieśnicy błędnie interpretują postępowanie kolegów i często nie mogą się z nimi dogadać. W powieści tak samo: sądy Mai o postępowaniu ojca są mylne, poglądy ojca o Mai — niesprawiedliwe. Michał nie rozumie matki, matka — Michała. A Maja i Michał? Z wzajemnej obserwacji wyciągnęli wnioski zupełnie sprzeczne z rzeczywistością i trzeba było niezwykłych okoliczności, żeby to pojęli! Te wzięte z życia przykłady wskazują, jak trudną sprawą jest należyta ocena drugiego człowieka i jak bardzo trzeba być ostrożnym w osądzaniu jego postępków i zachowania. Wrażliwość i delikatność powinna cechować nasze postępowanie z ludźmi, zwłaszcza jeśli mamy do czynienia z naszymi najbliższymi. Ta myśl przewija się zresztą we wszystkich moich książkach.

— „TEN OBCY", „NIESPOKOJNE GODZINY" — istotnie i tam można znaleźć przykłady konfliktów wynikających z niezdawania sobie sprawy, co naprawdę czują i myślą ludzie, z którymi mamy do czynienia. Daje pani do przemyślenia czytelnikowi poważny życiowy problem. Jego właściwe rozwiązanie może mieć dla młodego człowieka znaczenie praktyczne — pomoże mu należycie ocenić własne sprawy w życiu. Czy nie jest to zadanie literatury najważniejsze?

— Wydaje mi się, że w każdym razie jest zadaniem bardzo istotnym. Co do mnie — staram się pomagać młodym w zrozumieniu, że psychika ludzka jest skomplikowana — i w wyciąganiu właściwych wniosków z tego faktu. Cieszę się też zawsze, kiedy moje spostrzeżenia jakoś się potwierdzają. Kiedy czytelnicy w moich bohaterach odnajdują siebie i swoich rówieśników. Otrzymuję wiele listów zaczynających się od zdań: „U nas w klasie też jest taki...". Albo: „Ja też przeżywałam to samo..." itp.

— Czy nowa pani powieść znów będzie poruszała problemy nastolatków?

— Nie chciałabym mówić o tym, co nie jest jeszcze napisane. Mogę natomiast zapowiedzieć powieść pt.: „WAŻNE I NIEWAŻNE", która ukaże się jeszcze w tym roku. Będzie to historia wiejskiej dziewczynki w obcym dla niej mieście.

Na zakończenie trzeba powiedzieć, że pisarka ma swoich czytelników także wśród dzieci radzieckich, czechosłowackich, włoskich, szwajcarskich. Jej książki zostały już przetłumaczone na wiele języków, a nawet na język japoński. „Lo Straniero" — to tytuł powieści „Ten obcy" po włosku. Na obwolucie napisano: „Premio del Primo Ministre polacco" „Premio Citto di Varsovia", „Lista d'onore Andersen" — co oznacza, że książka jest nagrodzona nagrodą Premiera, Miasta Warszawy i że jest umieszczona na Honorowej Liście Andersena. Na Honorowej Liście Andersena znajdują się tytuły najlepszych książek dla dzieci i młodzieży pisarzy całego świata — jest to bowiem wyróżnienie międzynarodowe.

Przeglądając książki pisarki w innych językach z zadowoleniem stwierdzamy, że polskie wydania nie ustępują zagranicznym, a w wielu wypadkach nasze książki prezentują się dużo lepiej.

Życząc pisarce nowych wydań i dalszych sukcesów spełniamy jednocześnie pragnienia czytelników, którzy stale czekają na współczesne prawdziwe książki o sobie.

Rozmawiała: B. TYLICKA

CZYTA SIĘ JEDNYM TCHEM

KSIĄŻKA DLA CIEBIE

Na nasz konkurs na recenzję ogłoszony pod hasłem: „Książka dla Ciebie" przyszło dużo odpowiedzi. Drukowaliśmy już fragmenty recenzji na temat książek: Krystyny Siesickiej — „Fotoplastykon" i A. Minkowskiego — „Wyprawa na wyspę Borneo". Dziś zamieszczamy fragmenty recenzji z powieści Ireny Jurgielewiczowej pt.: „Wszystko inaczej".

Książka Ireny Jurgielewiczowej pt.: **„Wszystko inaczej"** wydaje mi się najprzyjemniejsza z przeczytanych przeze mnie powieści autorów współczesnych.

Dlaczego mi się podoba? — „Bo tak" — odpowiedziałabym krótko językiem bohaterki powieści — wdzięcznej Mai. Trzeba jednak sprecyzować dokładnie myśli i wnioski, które nasuwają sią same po przeczytaniu tej książki.

Autorka w sposób szczególnie subtelny i sobie tylko właściwy ukazuje nas — młodzież — w najskrytszych naszych pragnieniach, marzeniach, w naszych konfliktach z otoczeniem i z sobą samym. Powieść jej czyta się jednym tchem doznając wielu szlachetnych uczuć i z żalem dobiega się ostatniej kartki. Chciałoby się poznać dalsze dzieje bohaterów i nagle olśniewa myśl, że dalszy ciąg powieści — to nasze prawdziwe życie, że można i trzeba tak czuć i postępować na co dzień, aby nasze życie było przemyślane, żeby obcowanie z otoczeniem cechowała delikatność, szacunek i umiar. Bardzo podoba mi się to u bohaterów książki Jurgielewiczowej. Oni są przecież zwykłymi młodymi ludźmi, a jednak jest w nich jakaś „inność" tchnąca świeżością uczuć jakaś oryginalność osiągnięta najprostszym sposobem.

W powieści **„Wszystko inaczej"** nic nie chciałabym zmieniać. Wszystko w niej jest tak, jak powinno być, bo takie jest życie. Książka ta uczy, że nawet zło staje się dopiero wtedy prawdziwym złem, jeżeli reakcja otoczenia na nie jest niewłaściwa. I odwrotnie — każda najgorsza sytuacja może być skorygowana przez odpowiedni stosunek zainteresowanych do całej sprawy. Podoba mi się delikatne postępowanie Mai względem chłopca, który wykradał listy. Dziewczynkę wprawdzie oburza istota złego czynu, ale jego sprawa budzi w niej litość, współczucie i chęć pomocy.

Podsumowując swoje spostrzeżenia na temat książki Ireny Jurgielewiczowej pt.: **„Wszystko inaczej"** warto podkreślić zasadnicze myśli nurtujące autorkę.

Często jest tak — żyjemy obok siebie, ocieramy się o siebie... „mijamy się i nie możemy do siebie trafić, jak dwoje ślepych".

Najmniejszy gest życzliwości w kierunku drugiego człowieka przynosi stokrotny plon — serce na dłoni. W życiu inaczej wiele sobie wyobrażamy. Życie bywa pełne kaprysów i fantazji, ale wymaga od nas pewnej zasadniczej postawy — frontem do prawdy, honoru i miłości bliźniego.

Chętnie spotkałabym się z I. Jurgielewiczową, aby ją przede wszystkim zobaczyć, zapamiętać i podziękować za wspaniałą lekturę.

Irma Gąsiorowska

Chciałbym tak postępować

OSOBIŚCIE mam o tej książce dość dobre zdanie. Podoba mi się główny bohater — Michał i choć nieco rozkapryszona, ale naturalna Maja. Z punktu widzenia czytelnika dżentelmeństwo, opiekuńczość i męskość w dziesiątoklasiście — Michale, na pewno się podoba i to bardzo. Zastanawia zachowanie Mai, siódmoklasistki, która w obliczu niezachwianego postępowania Michała, demonstruje mu swoją powagę, dorosłość w pewnych chwilach nawet „zgrywając się". Mnie zaś wprost absorbuje postępowanie Michała wobec ojczyma. Nazwanie chłopca „nieodpowiedzialnym smarkaczem" nie jest trafnym określeniem — to fakt, ale faktem jest także obrażanie przez ojczyma chłopca, prowadzące do nieustannych kłótni. Michał nie powinien był tak lekceważyć Leona (ojczyma), ale poprzez zgodę dojść do porozumienia z nim i wytłumaczyć mu w grzeczny sposób, że jest już dorastającym mężczyzną i to wprost absurd nazywać go smarkaczem, w dodatku nieodpowiedzialnym.

Maja może denerwować czytelnika jedynie tym, że pragnie być tak „duża" jak Michał i z przyjaźni robi... miłość. Pragnie, aby chłopiec interesował się nią aż do przesady. Aby go zdobyć stara mu się imponować postępowaniem, które podpatrzyła u niezbyt dobrze wychowanej koleżanki — Joli. Ale tym nie zrobiła wrażenia na Michale. Nieprzemijającą wartością powieści jest pytanie, jakie sobie zadają czytelnicy „Wszystko inaczej": Czy wśród teraźniejszej młodzieży jest zapotrzebowanie na takich Michałów i Maje? Sam osobiście chciałbym tak postępować jak Michał, który rozumie, że tylko poprzez wysiłek w nauce można dojść do lepszej przyszłości. Taki chłopiec znajdzie poważanie wśród swoich rozumnych rówieśników.

Książka ma dużą wartość i dlatego najgoręcej polecam ją młodzieży. Na pewne będziecie zadowoleni, czego Wam gorąco życzę. I mam prośbę do pani Jurgielewiczowej: proszę bardzo o więcej takich książek jak „WSZYSTKO INACZEJ".

Andrzej Konieczny

ILUSTRACJA BOŻENY TRUCHANOWSKIEJ Z POWIEŚCI „WSZYSTKO INACZEJ".